

KINGA ŁOZIŃSKA

Rozbić nieprzejrzystość świata

To Shatter the Non-transparency of the World

Abstract

A report from a hike along the trails of Italian Puglia, culminating in the extraordinary Matera.

Keywords: Italy; travel; anthropology

Abstrakt

Relacja z wędrówki szlakami włoskiej Apulii, której zwieńczeniem była niezwykła Matera.

Słowa kluczowe: Włochy; podróż; antropologia

O autorce

Kinga Łozińska – absolwentka etnografii na Uniwersytecie Jagiellońskim, obecnie bizneswoman (Paragona, Green Caffè Nero, Muffia), aktywnie działa w Komitecie Obrony Demokracji. Autorka bloga Ścieżki.

16 września 2023

„Chodzimy – pisze Frédéric Gros – by oderwać się od zmartwień, nadmiaru zadań, zmęczenia, by się wyzwolić. Nie ma nic lepszego, żeby zapomnieć, że nie było nas *tutaj*, niż wielkie znużenie drogą, bezgraniczna monotonia leśnych ścieżek. Chodzić, oderwać się, opuścić, porzucić”¹.

Apulia. Via Ellenica, jedna z odnóg Cammino Materano. Zaczynamy w Massafraze, w ciągu sześciu dni zamierzamy dojść do Matery. Po bogatych, gęstych od zieleni, dzikich krajobrazach, spektakularnych widokach i porwijącej historii szlaku katarskiego (trekking sprzed roku) apulijski szlak wydawał się ubogi i mizerny. Płaski, nudny krajobraz, niekończące się gaje oliwne i winnice, które zachwycają na początku, ale nużą po dziesiątym kilometrze. Sucha, spalona ziemia, brak wody, czasami asfaltowe drogi, industrialne tereny, ruiny opuszczonych gospodarstw i tony śmieci wzdłuż szlaku: umywalki, szafy, skrzynki, fotele samochodowe, drut kolczasty.

Nie ma tu dzikiego krajobrazu, szlak prowadzi przez pola uprawne, tereny mocno przetworzone przez człowieka. Do tego mimo połowy września około 35 stopni w cieniu, rozgrzane powietrze utrudnia oddychanie, nie mówiąc o energicznym chodzeniu. Przykurzone, kolczaste rośliny, mało kolorów i zwierząt, towarzyszą nam tylko ptaki drapieżne i jaszczurki o piaskowym kolorze. Swoistą metaforą tej drogi stał się najładniejszy – poza oleandrami – spotkany kwiat, noszący piśczętliwą nazwę cebuli

KINGA ŁOZIŃSKA

Rozbić nieprzejrzystość świata

cmentarnej (urginia morska), używany do wytwarzania trutki na szczury. Na trasie nie spotykamy ludzi – czasami samotny traktorzysta spulchnia ziemię wokół oliwek lub napełnia zbiornik z wodą. Mijamy ogromne posiadłości za wysokimi murami albo opuszczone gospodarstwa. Nieco koloru dodają winnice starannie osłonięte przed słońcem, o żółtozielonych, różowych lub niemal czarnych kiściach.

Trudna to droga. Oferuje niewiele. Choć dzięki temu z każdym krokiem patrzymy uważniej, przenikliwiej. Rozróżniamy zapach rozmarynu czy eukaliptusa. Podnosimy głowę wypatrując nawołujących się kruków. Dotykamy chropowatych, fantazyjnych pni oliwek. Pochylamy się



Apulia. Via Ellenica. Fot. K. Łozińska.

nad skałą z odcisniętą muszlą przegrzebka. Świat jest pełen małych cudów.

17 września

Z położonej na wzgórzu Mottoli schodzimy na wielką, spaloną słońcem równinę, pokrytą równymi rzędami drzew oliwnych. Podobno idziemy starożytną Via Consolare, którą maszerowały rzymskie legiony, pielgrzymi podążali do Ziemi Świętej, a krzyżowcy przybywali do portów Apulii, aby wyruszyć na krucjaty. Wyobraźnia jest jednak ospała w upale – my widzimy tylko kurz drogi i białe niebo. Pozbawione cienia monotonna ścieżka odkrywa jednak kilka niespodzianek – spotykamy pierwsze skalne kościoły (*chiese rupestri*). W okolicy jest ich 150, my widzimy dwa: Chiesa Rupestre di Sant'Angelo oraz Chiesa Rupestre di San Nicola. Pojawiają się nagle, bez specjalnych zapowiedzi, ot prosta tablica z nazwą kościoła – jeden tuż przy asfaltowej szosie, drugi ukryty w wąwozie, trzeba zbroczyć ze szlaku, aby do niego dotrzeć. W wydrążonych w skale ciemnych kaplicach patrzą na nas wyraziste oczy w czarnych lub brązowych obwódkach, połyskują resztki złotych aureoli i miejscami zdumiewająco intensywne kolory szat świętych. Wizerunków jest dużo, nie tworzą spójnych kompozycji, widać, że powstawały w czasie. Czytałam, że mieszkańcy domów jaskiniowych tego regionu wydrążali nowy pokój, gdy rodziło im się kolejne dziecko. Tak samo powstawały ich kościoły – w miarę potrzeby wierni wykuli nowe kaplice i nawy, pokrywając ich skalne ściany malunkami. Mocno zniszczone malowidła Sant'Angelo i te lepiej zachowane San Nicola oglądamy przez kraty. Nie ma oświetlenia, przewodników, tablica informująca o nazwie kościoła, ławeczka, krata z prostą kłódką.

Dopiero tutaj – na drewnianej ławeczce pod rozłożystym tamaryszkiem przy wejściu do Chiesa di San Nicola – czujemy czas. Via Consolare ożywa i przez chwilę jesteśmy częścią wielkiego tłumu pielgrzymów, wędrowców, kupców, rycerzy, mnichów. Przypominam sobie, jak w małym miasteczku południowej Francji mężczyzna przestał zamiatać podwórko i zawołał w naszym kierunku: *Bonne promenade!* Miałam wtedy wrażenie, że pozdrawia nas w archaicznym, prastarym języku. Teraz jest podobnie. *Promenade* trwa od wieków.

18 września

Trzeciego dnia krajobraz zmienia się, faluje i doprowadza nas nad krawędź jednego z największych kanionów w Europie ze ścianami o wysokości ponad 200 metrów – wąwozu Laterza w parku przyrody Terra delle Gravine. Zmęczenie nie pozwala cieszyć się widokami, tego dnia pokonujemy ponad 26 kilometrów; do Laterzy przychodzimy po zmroku.

Wiemy już, że każdy wieczór przynosi nagrodę. Dzień wędrówki kończymy w kolejnym miasteczku, położonym na wzgórzu lub nad kanionem, niewielkim, niezbyt turystycznym, żyjącym swoim rytmem, obojętnym na przyzwyczajenia nielicznych przybyszów – życie zamiera tu wczesnym

popołudniem, aby obudzić się o 20, gdy otwierają się restauracje, a mieszkańcy wychodzą na główne ulice.

Każde z nich ma patrona, świętą figurę, którą z oddaniem i troską opiekuje się miejscowa konfraternia. Naturalnej wielkości figury świętych, zwłaszcza Matki Boskiej, ubiera się w bogate, barokowe suknie, welony, długie złote kolczyki, pierścienie, włosy układa się w loki i staranne fale.

Ci najważniejsi mieszkańcy, najbliżsi powiernicy, obrońcy – kilka razy w roku opuszczają kościoły, aby iść ulicami w uroczystych procesjach. Podział na sakralne i świeckie nie spędza nikomu snu z powiek, bo go nie ma, oba światy przenikają się w symbiozie i zgodzie – przybysz z uwikłanej w toksyczne związki z kościołem Polski patrzy na to z zazdrością.

Na małym placu przed kościołem w Ginose siedzimy przy stoliku z parasolem, pijąc wino i patrząc na otwarte drzwi kościoła, w którego oświetlonym wnętrzu odbywa się msza. Dźwięk organów i śpiew wiernych mieszają się z radosnymi krzykami dzieci, które biegają po placu, i popową muzyką z głośników restauracji. Nikogo to nie dziwi, nie gorszy, nikt nie zamyka otwartych na oścież drzwi kościoła. Na niewielkiej przestrzeni toczy się całe życie. Za chwilę uczestnicy mszy wyjdą i zamiast biec do domu, będą stać na schodach i długo rozmawiać, a potem dośiadać się do stolików obok, aby celebrować wspólnotowy świat.

19 i 20 września

Od tej chwili, choć nadal jest gorąco, męcząco – droga staje się bardziej dzika, miasteczka coraz bardziej niezwykle, zaczynamy czuć podniecenie bliskością celu, coraz bliżej Matery, jaka ona będzie? Myślimy, że nas rozczaruje. Czy może być wspanialsza niż białe kamienie Mottoli, rynek Castellanety, fantazyjnie położona Laterza, tajemnicza Ginosa, samotne na wysokim wzgórzu Montescaglioso?

W Mottoli podziwiamy, jak mieszkańcy starannie myją duże, białe płyty stromych ulic i niewielkich placów. Wypolerowane, śliskie, lśniące odbijają światło zachodzącego, a potem porannego słońca.

Na pięknym, owalnym placu w Castellaneta siedzimy nad filiżankami espresso (niezmiennie, w każdej, najmniejszej knajpce smakuje tak samo) i zastanawiamy się, dlaczego restauracja nazywa się Rudi? Za chwilę odkryjemy, że miasteczko chełpi się miejscem urodzenia Rudolfa Valentino. Knajpy i pensjonaty noszą jego imię, a na głównej ulicy stoi – dość nieudana – rzeźba przedstawiająca słynnego aktora. Trudno oprzeć się wrażeniu, że niekoniernie o turystów tu chodzi, a miasto jest autentycznie dumne ze sławnego syna.

Do Laterzy docieramy o zmroku, ale dostrzegamy jej niezwykle, przyprowadzające o zawrót głowy położenie – przecięta głębokim wąwozem, wyrasta z niego i pnie się do góry. To tutaj młody właściciel gospody bez wahania i bez jednego angielskiego słowa przyjmuje zamówienie na



Matera. Fot. K. Łozińska.

wegetariańską pastę, której nie ma w karcie i wyczarowuje cudowny sos z pomidorów, bakłażanów i ziół.

Ginosa (moja miłość!) wita nas w opuszczonej, niezamieszkaanej, jaskiniowej dzielnicy. W samotności oglądamy pierwsze skalne domy, jaskiniowe mieszkania. W nocy wracamy do tej części miasta, aby zobaczyć, czy jest oświetlona. Przyciąga nas duży, otwarty kościół. Siedzący przed nim mężczyźni tłumaczą, że w środku trwa ubieranie Marii, w którym uczestniczyć mogą tylko kobiety, oni wrócą do kościoła, gdy Maria nie będzie już naga. Członkowie miejscowej konfraterni przygotowują świętą figurę na piątkową procesję. Na skutek niezwykłego zbiegu okoliczności – zostajemy zaproszone do środka. Przez ponad godzinę patrzymy, jak kobiety prasują welon, czeszą perukę, nakładają naszyjniki, pierścienie i kolczyki, poprawiają fałdy złotoperłowej sukni. Nie mówią o niej Matka Boska, tylko Maria. Śmieją się i żywo dyskutują. Mężczyźni ubierają Dzieciątka – wolno im to robić, bo są przecież ojcami. Boimy się oddychać w obawie, że czar pryśnie i zostaniemy wyproszone. Mamy świadomość wyjątkowości chwili – tej intymnej ceremonii nie widuje nikt obcy, nawet inni mieszkańcy miasta. W czym uczestniczyliśmy? Zobaczyliśmy siłę tradycji i rytuału. Zobaczyliśmy prawdziwą, żywą wiarę, może naiwną, ale silną. Całkiem młodzi, nowocześni, modnie ubrani ludzie – są dumni ze swojej roli. Z niekłamany zachwytem mówią, jak w piątek poniosą Marię ulicami miasta, a mieszkańcy będą sypać z okien kwiaty. Co to wydarzenie znaczyło dla nas? Nie wiem i pewnie minie sporo czasu, zanim to zrozumie.

Montescaglioso na wysokim wzgórzu imponuje liczbą placów i kościołów. Po zmroku docieramy do dużego opactwa. Drzwi są otwarte, przywołują nas dziwne okrzyki dorosłych i śmiech dzieci. Dochodzimy do imponujących krużganków, na których grupa ludzi ćwiczy pozycje chyba krav magi, pokrzykując bojowo. Pozostawione samym sobie dzieci biegają po dziedzińcu, bawiąc się różnokolorowymi matami do jogi. Długo stoimy oparte o murek dziedzińca i patrzymy w milczeniu na ten niezwykły widok. Stare mury, przygaszone światło, różowe, żółte, pomarańczowe prostokąty mat... Opactwo nie jest martwym zabytkiem, muzeum – budynek żyje, otwiera się na nowe historie, drogi, doznania.

21 września

A jednak... Matera zapiera dech i gwałtownie burzy wszelką rezerwę i powątpiewanie! Jest królową, władczynią, miastem-miast, czarodziejką, która nie bierze jeńców. Jeden rzut oka na Sassi i stajesz się żarliwym wyznawcą. Mimo turystów i niewątpliwej komercjalizacji, anglojęzycznych napisów, przewodników z kolorowymi flagami. Matera i tak pozostaje dzika, archaiczna, pogańska, tajemnicza, niepokojąca, w sumie obojętna na naszą obecność. Położona nad zboczach wzgórz nad głębokimi wąwozami nie ma planu, granic, przypomina żywy organizm. Małe domki wyrastają jeden na drugim, uliczki płaczą się i krzyżują, liczne schody prowadzą na inne poziomy mia-

sta, ale czasem tylko do drzwi czyjegoś domu. Siedzimy na stromych schodkach donikąd i nagle słyszymy język czeski. Dwie młode dziewczyny – które spotkamy jeszcze kilkakrotnie – przyjechały z Ostrawy i natychmiast uznajemy się za bliskie sąsiadki. Matera to prawdziwy labirynt, w którym gubimy się, nie bez radości... Czy tutaj już byliśmy? Jak dojść do tamtego kościoła? Granica między naturalnym a stworzonym jest tu zatarta, w budynkach często widać fragmenty surowej skały. Miasto jest dosłownie wykute w kamieniu. Jego skalne kościoły – Chiesa di Santa Maria di Idris, Santa Lucia alle Malve – to prawdziwe perły podziemnego miasta. W Chiesa San Pietro Barisano widzimy kamienne stałe, w których sadzano zmarłych mnichów, aby mikroklimat miejsca poddał ich ciała mumifikacji – dopiero potem chowano ich na cmentarzu. Matera – biała w dzień, wieczorem jarzy się blaskiem niezliczonych świateł. Znam tylko jedno podobne miasto i jest to Wenecja. Miasto wody i miasto skały.

22 września, Matera

Tutaj kończymy naszą wędrówkę i z każdą chwilą oddalenia widzimy więcej, bo trudny szlak zmusił do myślenia. Matera była zwieńczeniem, ale czy celem? Czy celem nie jest sama wędrówka? Dlaczego wędrujemy? Dla pięknych, pocztówkowych widoków, wyjątkowych wrażeń? Czy droga zawsze musi być piękna? Bez względu na to, czy wchodzimy na szlak, aby przewietrzyć głowę, odpocząć, wyzdrowieć, zmierzyć się z wyzwaniem, przeboleć stratę, znaleźć siebie czy szukać Boga... wartością jest sama droga, ścieżka. Wędrówka jest wspaniała nie p o m i m o trudów, ale właśnie d z i ę k i nim. Zmęczenie, monotonia, wysiłek, ciężar plecaka, powolność – dają jedyne w swoim rodzaju doświadczenie: oderwania od spraw świata, a równocześnie możliwość zagłębienia w świat w wyjątkowy, niepowtarzalny sposób.

„Kiedy naprawdę wędrujemy – na koniec raz jeszcze Frédéric Gros – cały dzień staje się serią pożegnań. Nigdy nie jesteśmy pewni, czy wrócimy w to czy inne miejsce. Ciągłe odchodzenie przekłada się na intensywność spojrzenia. To spojrzenie wstecz, kiedy osiągamy szczyt, zanim widok zupełnie się zmieni. Albo kiedy wyruszamy wczesnym rankiem i ostatni raz patrzymy na schronisko czy szalas (jego szarą sylwetkę i drzewa za nim stojące). Odwracamy się po raz ostatni. Ale nasze zmartwione spojrzenie nie chce zabrać, zatrzymać czy zachować: chce raczej dać, pozostawić trochę światła upartej obecności kamieni i kwiatów. Na nienazwanych lodowcach, niebiosach bez przyszłości, preriach bez historii wędrowiec zostawia błysk swojego przenikliwego spojrzenia. Idzie właśnie po to, by rozbić nieprzejrzystość świata”².

Przypisy

- 1 Frédéric Gros, *Filozofia chodzenia*, Czarna Owca, Warszawa 2021.
- 2 Tamże.